



Dot. Krzysztof Bielinski/Teatr Łaźnia Nowa w Krakowie

# Aktor z innego świata

Jacek Wakar, Polskie Radio

**W** 2014 roku Krzysztof Globisz przeszedł wylew krwi do mózgu. Był w wyjątkowym momencie artystycznej drogi. Na jego rolach trzymała się lwia część repertuaru krakowskiego Narodowego Starego Teatru, był najważniejszym liderem jego zespołu. Był też aktorem do spodu lojalnym, gotowym na ryzyko eksperymentu, wyglądającym w przyszłość, odważnym może czasami aż za bardzo. Przy tym pozostał znakiem świetności sceny przy placu Szczepańskim. Miał przecież wielki udział w legendarnych inscenizacjach Jerzego Jarockiego, Andrzeja Wajdy, Jerzego Grzegorzewskiego, Krystiana Lupy. Grał u nich wszystkich, z każdego biorąc, ile chciał, każdemu dając bardzo wiele. Grał również w owym czasie w filmach – lepszych i gorszych – może odrobinę za dużo.

Choroba Globisza, tak się zdawało, miała na zawsze odebrać wielkiego aktora scenie. Powroty z takich stanów z początku zdają się niemożliwe, potem w najlepszym razie ekstremalnie rozciągnięte w czasie, liczone w mikroskopijnych krokach. Przyjaciele artyści najpierw cieszyli się z tego, że on w ogóle jest. Pamiętam jedną z najbliższych mu osób, która opowiadała mi, jak bardzo irytują ją pytania o powrót Globisza do zawodowego życia. Kiedy i jak – dociekali dziennikarze. My gotowi byliśmy na cierpliwie czekanie.

„Wieloryb The Globe” zrazu był gestem w kierunku aktora, dopiero potem stał się fascynującym teatrem. Historia jego powstania stała się częścią dramatu Mateusza Pakuły. Ewa Rysowa, która widowisko w Łaźni Nowej wyreżyserowała, była asystentką Krzysztofa Globisza przy zrealizowaniu przez niego jednym z aktorskich dyplomów. Zuzanna Skolias i Marta Ledwoń jego studentkami w krakowskiej PWST i w tamtym spektaklu wystąpiły. Pakuła pisze, że doskwierała im bezradność wobec sytuacji swego profesora i wspólnie doszli do wniosku, że jedynym jej przełamaniem byłoby przedstawienie. Podobno namawianie Globisza nie trwało długo. Zaangażował się w projekt, z początku nazwany przez autorów teatrem terapii. Premierowy wieczór udowodnił jednak, że „Wieloryb The Globe” jest czymś więcej. Zapewne spełnia terapeutyczną funkcję,

**TEATR ŁAŹNIA NOWA** Oglądam „Wieloryba The Globe” z poczuciem, że nie ma tutaj śladu szantażu emocjonalnego ani taniego współczucia. Krzysztof Globisz tworzy wielką rolę w słowach i poza słowami. To więcej niż teatr

ale w tym samym co najmniej stopniu co głównego wykonawcę leczy nas na widowni. Samo to określenie wydaje się nieprecyzyjne i trochę podejrzane. Tym bardziej że nie ma na scenie Łaźni pacjenta poddawanemu leczeniu poprzez sztukę, jest za to wielki aktor w nieprawdopodobnej, niepodobnej do swych innych ról. Nie ma popatrywania, czy Globiszowi dobrze, czy nie trzeba mu pomóc. Młode aktorki prowadzone przez Ewę Rysową ustawiają się niejako na przekór. Skaczą jak piłki wokół wyrzuconego na brzeg Wieloryba Globisza, jakby chciały z nim i nim się zabawić, jakoś go sprowokować. Drażnią go odrobinę, sprawdzają, na ile mogą sobie pozwolić. Zdaje się, jakby były wobec swojego mistrza w kontrze, a jemu w to graj. Krzysztof Globisz niepodzielnie rządzi bowiem całym przedstawieniem. W którymś momencie, bliżej finału, pada fraza „The world is the stage, my brain is the stage”. Świat jest sceną – to wiemy, z Szekspira. Mój mózg jest sceną – to mogłoby być z Globisza. Poza słowami przekonujemy się, że osobne przedstawienie odbywa się w aktorze. Jesteśmy pewni, że teraz bardziej niż kiedykolwiek ma on własny, nam niedostępny świat. „Wieloryb The Globe” jest karkołomną, ale udaną próbą połączenia dwóch światów. Zbudowania kładki, po której stąpa Globisz, a my wchodzimy na nią razem z nim.

Gra wieloryba wyrzuconego na brzeg, pozbawionego wody. Marta Ledwoń i Zuzanna Skolias wcielają się w – jak mówią ironicznie – rainbow warriorki, które próbują go ratować, gadając z nim, śpiewając mu piosenki.

Zaczyna się to wszystko od Globisza. Wchodzi o lasce, z trudem stawia kroki. Potem przystaje, jakby w głowie – a my z nim – usłyszał muzykę. I dyryguje nią przez dłuższą chwilę. Gest wielkiego aktora stwarza teatr i teatr mu podporządkowuje. Potem powtórzy się jeszcze w spektaklu, pokazując, kto tu ma moc wprawiania w ruch scenicznej maszyny. Może najbardziej niezwykle jest jednak patrzeć na zmaganie z tekstem. Aktor ma go sporo, mierzy się z nim raz gładko, za chwilę z trudem przeskakuje barierę. W głosie słychać dawnego Globisza, tyle że teraz nabral on jeszcze przedziwnej melodyjnej tonacji. Niektóre zdania zatem niemal śpiewa, zmieniając całość nieomal w utwór muzyczny. Słowa zaś czasem nie przechodzą, Globisz powtarza je z coraz to większą wściekłością. Wyrzuca z siebie wtedy siarczyste kurwy, to ponoć było jedno z niewielu słów, jakich nie odebrała mu afazja. Patrzymy więc na walkę aktora z ograniczeniami, którymi skrzępowwała go choroba. Wiemy, że zdolny byłby powiedzieć wszystko, bo wszystko w sobie ma, ale ułomność ciała i mowy na to nie pozwala. Dlatego walczy do upadłego, raz po raz wygrywając. Może to w „Wielorybie” jest najbardziej poruszające.

Nie jest to wieczór, gdzie ktokolwiek domaga się współczucia, gdzie próbuje się grać na uczuciach, cynicznie wywoływać emocje. Krzysztof Globisz nie został przez nikogo użyty, nikt nim nie manipulował, aby wywołać na scenie założony z góry efekt. Można powiedzieć, że przedstawienie Rysowej nie kończy się w teatrze, bowiem oswaja chorobę, zostawia w przeświadczeniu, że niemożliwe staje się możliwe. Bywa przy tym nieprawdopodobnie zabawne, bo przed śmiesznością nie bronią się młode aktorki i nie ucieka przed nią Globisz. Sceny, gdy opowiada bajki, z wykrzyczanym „aż tu nagle” same w sobie stanowią rewelacyjne etudy, perełki absurdałnego humoru. Przy tym zdarzenia i skojarzenia rodzą się tu z niczego, wciąż krążąc wokół odzyskiwania wolności i przełamywania barier. Wieloryb pisze na świetlnej tablicy znaki, układające się w znane z dziecięcego filmu hasło „Free Willy”. Dziewczyny wraz z muzykami podchwytyują jego pierwszy człon i za chwilę wybuchają ze sceny „I Want to Break Free” grupy Queen. Wspaniały finał też dyktuje muzyka – tym razem „With a Little Help from my Friends” w wykonaniu

odwołującym się do wersji Joe Cockera. Cockerem w Łaźni staje się oczywiście Globisz, śpiewając pojedyncze słowa i przygrywając na harmonijce. Ponoć nie robił tego wcześniej, dopiero teraz odkrył w sobie ten talent.

Wtedy już wiemy, że Krzysztof Globisz naprawdę z nami jest. Wrócił skądś; swojego czasu jego uczeń i przyjaciel Piotr Głowacki mówił w audycji radiowej, że musi kiedyś wszystkim opowiedzieć, jak tam jest. Jeszcze nie teraz. Na razie mamy powrót Globisza, rozłożony na etapy. Najważniejszym jest „Wieloryb The Globe”, ale wcześniej byli „Podopieczni” Elfriede Jelinek, zrealizowani przez Pawła Miśkiewicza w Starym Teatrze w Krakowie. Oglądam ten potężny spektakl podczas festiwalu Boska Komedia pół roku po premierze i mam w głowie gmatwaninę myśli. Bo z jednej strony jest to fantastyczna zespołowa robota, a z drugiej w sam tekst Jelinek wpisana została publicystyczna deklaracyjność. Mówi o grupie uchodźców w kapokach wpływ chcących dotrzeć do lepszego świata, gdzie zostaną brutalnie odrzuceni. Jelinek opowiada o nich w pierwszej osobie. Każde nam czuć się trybikami tej upragnionej, ale sankcjonującej opresję względem obcych rzeczywistości. Wzmaga to jeszcze sugestywne przedstawienie Pawła Miśkiewicza. Globisz jest w nim jednym z grupy imigrantów, porusza się na wózku, ma jeden monolog. Reżyser wygasza przy nim całą inscenizację, koledzy ze Starego wśluchują się w zlaną mowę towarzysza z boiska. Może i taka była intencja, Krzysztof Globisz jest w „Podopiecznych” uosobieniem innego, ale idzie za tym ustawienie go w roli kogoś, kto czeka na pomoc. Tego udało się uniknąć w Łaźni Nowej.

Ogląda się „Wieloryba The Globe” z mokrymi oczami i przeświadczeniem, że jego znaczenie wykracza daleko poza teatr. To nie jest Globisz – Segismundo z „Życia snem” Jarockiego ani ten z „Zaratustry” Lupy. Nie jest to Globisz – zlamany idealista z „Krótkiego filmu o zabijaniu” Kiesłowskiego. To jest ten sam, ale już inny aktor. Lepiej widzieć w tym nie cud, ale wielkie zwycięstwo. Mam też poczucie, że wspólna produkcja Łaźni Nowej i Teatru Starego w Lublinie (spektakl będzie pokazywany także na jego scenie) to rzecz niepowtarzalna. Może pojawią się kolejne z podobnie obsadzonym Krzysztofem Globiszem, ale emocje takie jak na „Wielorybie” przeżywa się tylko raz.